

Wychodzą we Lwowie we *Wto-
rek, Czwartek i Sobotę*. Prenume-
rata rocznie 6 Złr. półr. 3 Złr.
kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięcz-
nie 30 kr. m. k. W kraju z prze-
syłką pocztową rocznie 8 Złr. —
półrocznie 4 Złr. — kwartalnie
2 Złr. m. k. — Ryciny mód
kwartalnie 1 Złr. 20 kr.

Bióro ekspedycji w księgarni
H. W. Kallenbacha.

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju
przyjmują się za opłatą od wier-
sza pismem petyt w przedziałce
za jednorazowe umieszczenie w
głównym dzienniku po 4 kr. za
następne po 2 kr.; w dodatku po
3 kr. za następ. po 1½ kr. za
dopłatą 10 kr. stępl. za każdora-
zowe umieszczenie.

1. Kwietnia 1856.

N^o 39.

Rok trzeci.

Wspomnienia pana Szambelana

przez J. I. Kraszewskiego.

Relata refero.

Mało kto, na Polesiu i na Wołyniu całem, nie znał tego poczciwego i miłego Szambelana, który tak niespodzianie ma być wydrukowanym po śmierci. Mogliżbyśmy go zapomnieć? jednego z tych, na wieki już dla nas zaginionych ludzi epoki, która się odrodzić drugi raz nie może, a której synowie dogorywają, lub skonali wzdychając i tęskniąc za swoim światem. Smutne, smutne życie ludzkie, tyle nadziei w niem, tyle szumu, a potem starość w cieniowej koronie żalów i pamiątek, i cicha, zapomniana mogiła. Zstąpił już do niej i mój Szambelan! Wieczny mu pokój! Ale umierając, nie płakał, bo szczęściem Bóg nie dał mu umrzeć jak żył swobodnym, wesołym i na sercu młodym, choć mu czas poorał czoło i posiwiał włosy.

Niechże się po nim zostanie choć to maluczkie wspomnienie, odgłos jego opowiadań, tak młodzieńczych pomimo wieku, których lubiliśmy słucać.

Opuściwszy dwór Stanisława Augusta, na którym przeżył najlepszą część młodości, Szambelan powrócił do rodziny, i tu doświadczywszy różnych losów, zostawszy gospodarzem, ojcem, obywatelem, nareszcie wyrzekłszy się majątku dla dzieci, w małym domku, bawiąc się pracą dożył reszty dni, które ozłacały wspomnienia świetnej Warszawy Stanisława Augusta. Nie wiem czemu smutno było i pocieszająco razem, patrząc na tę piękną, pracowitą, swobodną i wesołą starość, w której ani umysł swej żywości, ani serce młodych uczuć, ani uśmiech swej łatwości nie stracił. Oddawszy dzieciom co miał, i zostawiwszy sobie skromne utrzymanie, osiadł w dawnej swojej wiosce, w małym domku, nie dając nawet poznać po sobie, że jakkolwiek z siebie uczynił ofiarę. Pod tym słomianym dachem urządził sobie całe życie nowe i zapełnione w sposób najoryginalniejszy. Znawca i lubownik wyrobów hybla i dłota, bawił się stolarką, wychowywał kury, uczył sroczi, któreby mu samotną ciszę ożywiały, i powiesiwszy przed sobą z jednej strony portret króla, z drugiej, portret ulubionego krewnego, wesoło, swobodnie trawił dni, przerywane tylko odwiedzinami w sąsiedztwie i podróżami do rodziny.

Nigdzie Szambelan nie mógł być nie pożądanym, bo wszędzie przynosił z sobą właściwą wiekowi, w którym lepsze lata przeżył, wesołość, grzeczność uprzedzającą, dla kobiet uśmiech zalotny, mimo siwych już włosów i w siedm-
dziesięciu latach do mazura gotów, do pogadanki ohotny, wytrwały w zabawie czy w pracy, jak dwudziesto-letni

młody człowiek, z każdym się zgodził, każdemu podobał, każdego ująć potrafił.

Już sama postawa rzeźka, ruch przymilenia pełen, twarz rozświecona uśmiechem, oznajmiały, że siwe jego włosy nie zmrożą żadnego weselszego towarzystwa. A było z nim tak swobodnie i miło, tak ochoczo przy zabawie, że nikt nigdy nie stęknął na niego. Brak do mazura pary, — gotów Szambelan, byle z piękną tancerką, i wytnie jeszcze hołubca jak należy, brak do wista partnera, siada sam i będzie grał, póki trzeba graczom; zechcecie posłuchać opowiadania z dawnych czasów, powie wam co pamięta. A gdy opowiadać zacznie, oczki mu się zaświecą, usta zadrzą, wyprostują krzyże, i znać, że to co mówi, rozgrzewa go wewnątrz, bawi, zajmuje, ożywia.

Trudno mi zapomnieć opowiadań pana Szambelana, i zdaje mi się, że szkoda byłoby, żeby te oryginalne powiastki, malujące swój czas w pewien sposób, z nim zaginać miały. Spróbuję więc przypomnieć, co od niego słyszałem, i nie dodając nic, nie ubierając, powtórzę jak mi opowiadał swoje przygody, to co słyszał, co widział, *et quorum pars magna fuit.*

„W r. 1788 byłem jeszcze młodym chłopcem i dali-pan niezego, — opowiadał mi Szambelan, — Król Jegomość postanowił świetnym obchodem uczcić pamięć Jana III. Byłem naówczas w korpusie paziów i jako paź uczestniczyłem w sławnym owym karuzelu, do którego gonitw gotowaliśmy się kilka tygodni bez ustanku, krusząc kopje, zdejmując mniej więcej szczęśliwie pierścienie. Pułkownik Königsfeld, naczelnik paziów, przewodniczył nam w tych przygotowaniach.

Uroczystość ta, która zwabiła nie tylko mieszkańców stolicy, kraju, ale wielu cudzoziemców, odbyć się miała w Łazienkach. Na placu Łazienkowskim, niedaleko Białego Domu, zbudowane było okazałe trzypiętrowe amfiteatrum. Były to ganki koliste, mające w sobie siedzenia na kilka stopni podzielone, pokryte różnobarwnymi dachami płócien-
nemi. Na samym dole mieścić się miał tłum widzów, oddzielonych od jeźdźców i goniących szrankami. W gankach tych były cztery łoże i cztery bramy wjazdne, pięknie ubrane. Łoże przeznaczone były dla Króla JM., dla dostojnych gości i sędziów, obite bogato i przystojnie. Na bramach, których rysunek dawał budowniczy J. K. M., pan Kubiński podobno, były herby kraju, Poniatowskich i Sobieskich. Na wierzchu ich powiewały chorągiewki: zielona, pasowa i żółta, oznaczające, gdzie kto z biletem tegoż koloru miał się umieścić.

W środku na polu amfiteatrum, ustawiono drzewa z pierścieniami, tarcze do strzelania i figury wypchane mu-
rzynów i turków, na których kruszyliśmy groty, tępili pałasze, i exonerowaliśmy pistolety swoje. Przy samych szran-

kach, oddzielających nas od widzów, wisiały także w czterech miejscach pierścienie a na ziemi leżały głowy, które w całym pedzie konia, kopjami i pałaszami zbierać mieliśmy. Takież pierścienie wisiały w bramach. Zacząć miał festyn ów karuzel, po nim następowało teatrum, balet i kantata, i illuminacja, fajerwerk; ale o tem zaraz lepiej rozpowiem; wróćmy do początku.

Z pomiędzy nas paziów, do pierwszego kadryla wybrani byli: pp. Raczyński, Ostrowski, Aksamitowski i Linowski, do trzeciego ja, Lipiński, de Tylly, później szambelan J. K. M. i Mysłowski. Wybrany był także Stanisław Jabłonowski, ale ten później usunięty został. Mieliśmy pracy nie mało w nabyciu potrzebnej zręczności, ale człek wówczas był młody, ochoczy, zwinny, i tysiące pięknych oczu, co na niego patrzeć miały, nie mało dodawały ognia.

Wystawże sobie, kochany panie, ten cały amfiteatr pełen aż do brzegów, okoliczne drzewa obwieszane ludźmi, łoże jaśniejące pięknosciami, Króla Jego Mości w świetnym gronie, a całe góry sąsiednie, zwłaszcza górę gdzie stoją koszary gwardyi litewskiej, jak makiem zasianą ludem. Mówiono, że tysiąc powozów, a do 50,000 głów i oczu przytoczyły się do Łazienek. Miarkuj pan, jak tam serce nam bić musiało, żeby się popisać.

Tandem zasiada Król J. M. w łoży swojej, posłowie zagraniczni i dostojniejsi w wyznaczonych łożach, za biletami wpuszczani na wshodach, a dołem zaproszeni. Każdy z nas paziów, miał po piętnaście biletów do rozdania, — ej! i miał je komu rozdać, choć drudzy niemi frymarczyli bo je po 15 czerwonych złotych w końcu kupowano.

J. M. P. Konarski, pułkownik artylleryi koronnej, za przybyciem Króla J. M. dał znak, i z dział uderzono na rozpoczęcie karuzelu. Byliśmy już w gotowości i w stroju za bramami, i poczęliśmy wjazd przez bramę litewską, przy odgłosie trąb i kottłów. Dwóch oficerów prowadzili najprzód z trębaczami kilkudziesięć ludzi dobornych z lejb-regimentu gwardyi koronnej. Byli ci oficerowie, pp. Broniewski i Frankowski, jeśli dobrze pamiętam.

Za nimi nasz pułkownik Königsfeld, dyrektor karuzelu *ad hoc*, w kolecie białym, suknia na nim pasowa ze złotym galonem, na piersi orzeł, wypukło szyty, srebrny, z cyfrą Jana III, na głowie szyszak srebrny, z piórami strusiem, białemi z pasowem.

Za nim tuż pierwszy kadryl, podobnie coś ubrany, ale u pasowych sukni obszlegi zielone, galony złote, na głowach kaszkiety srebrne z piórami, w rękę kopje złoczone. Potem kadryl drugi, czterech pp. kadetów, kolety białe, galony złote, obszlegi pasowe, kaszkiety złoczone, pióra białe. Tandem i nasza czwórka następowała, tak samo przybrana, tylko na piersiach mieliśmy wyszytą pogoń. Czwarty kadryl czterech podkoniuszych J.K.M., suknie białe, kolety zielone ze złotem, na piersiach i na plecach wyszyte słońca, kaszkiety szmelcowane czarno, orły na nich złociste, pióra, białe z czarnem, szarfy z białego atlasu z frędzlą złotą. Dalej kadryl złożony z pp. oficerów regimentu leib-gwardyi koronnej. Ubrani w kolety paradne regimentu swego, pasowe ze srebrem, na piersiach i plecach haftowane słońca srebrne, kapelusze i kopje. Szósty kadryl w mundurach kawaleryi narodowej, porucznicy kawaleryi i przedniej straży porucz-

nik także, Strutyński. Siódmy i ostatni miał w sobie dwóch szambelanów króla i pułkownika litewskiego, Kirkora, z półkownikiem i adjutantem Byszewskim, kolety białe, suknie pas ze złotem, słońce złote na piersiach i plecach, szarfy atlasowe białe ze złotą frędzlą, kaszkiety srebrne ze złotymi orłami, pióra czarne. Zamykali wjazd nasz kilkudziesięć ludzi, z lejb-regimentu gwardyi, z trębaczami, prowadzeni przez poruczników Pagowskiego i Kepińskiego. Najprzód tedy objechaliśmy plac dokoła, salutując króla, sędziów i damy; potem pułkownik Königsfeld stanął w pośrodku, jako mistrz karuzelu, a my po jednym do każdej bramy ustapiliśmy, czekając znaku na rozpoczęcie gonitwy.

Tandem poczęliśmy najprzód do pierścieni, potem do turków i murzynów biegać, strzelać, kłuć, rąbać, nareszcie objeżdżać amfiteatrum i chwycić na kopije i pałasze, wbiegu najszybszym głowy i pierścienie. Po trzy razy tę zabawkę z powszechnem powtarzaliśmy aplauzem. Trwał karuzel pięć kwadransów, a powiem panu otwarcie, nie powiedziałbym, czy pięć minut, czy pięć wieków, tak mi się czas pobałamucił. A jak wszędzie na świecie, nie było bez przypadku. W czasie samej reprezentacyi, koń pana Linowskiego podobno, jeśli nie bałamucę, wściekł się od huku trąb, od strzałów i wrzasków i przesadziwszy szranki, uniósł go z bramy w pole, tam długo z nim walczyć i usiłując go pohamować, p. Linowski musiał mu wreszcie z pistoletu, który miał przy sobie nabity (bo to było przed strzelaniem do tarczy), w łeb wypalić. W czasie zaś ataku na ostatku, Nakwaski przypadkiem ciał w twarz Lipińskiego, który od tego razu całe życie miał pamiętkę. Ten Nakwaski był słyseż potem prefektem miasta Warszawy.

Połamawszy brechłance i narzucawszy głów co niemiarą przed łożą królewską, skończyliśmy, a żaden podobno z nas nie miał apetytu pójść na kantatę inauguracyjną, choćby był zobaczył piękne ówczesne aktorki, pannę Sitańską, panią Jasińską i pannę Rudnicką.

Po kantacie był balet heroiczny z rycerzami, starcami, parą zakochanych, i co do tego należy.

Nim balet wytańcowali, już wspaniała, nowej inwencyi illuminacja *alla Borghese* gotowa była; kilkadziesiąt tysięcy lamp różnokolorowych, przedziwnie ustawionych, śliczny tworzyły widok. Nad posągiem Jana III. unosił się łuk tryumfalny, przepyszny, z transparentami po bokach, wszystko to i posąg w ogniu kolorowym jaśniało. Na skroni Jana III. palił się wieniec zielony. Nad kanałem po brzegach stały trofea na słupach, połączonych z sobą festonami, łączące dom króla z tryumfalnym łukiem. Po drugiej stronie, ogniami oświecony był także staw, aż do kaskady, nad którą stał obelisk ognisty. Dziedziniec, szpalery, obwieszone latarniami i świecznikami wspaniale, widne były jak we dnie.

Król, czego już dalej byłem świadkiem, powróciwszy do sali, słuchał pięknej mowy młodego Michała Sobieskiego, wojszczyca liwskiego, którego potem wziął na swoje opiekę i wychowanie, ale co się z nim stało, niewiem.

Przyszła na nas kolej do nagród, których sędziami byli: generał Byszewski, pułkownik Michniewicz, Döbel, Lantau i Poświatowski. Ci spisywali, ile kto razy zdjął pierścień, podjął głowę, i kto ile razy chybił celu, z tego

gdy zdali sprawę królowi J. M., sekretarz J. M. P. Karas czytał imiona odznaczających się, a damy: wojewodzina Braclawska (Jablonowska), księżna Nassau-Seigen i pani Humiecka, miecznikowa koronna, rozdawały nam i przypinały medale złote i srebrne, na niebieskich wstążkach, z napisem: *Equiti dextro*, zapony z medalami i pamiętne tej uroczystości medale z Jana III wizerunkiem. Mnie się dostało odebrać medal, z rąk pani miecznikowej koronnej. A powiem tu panu nawiasem, że taż sama pani Humiecka (która mieszkała przeciwko Przebendowskich, na rogu ulicy Koziej), ocalała w czasie rozruchu generała Igelstrom. Wpadł on do pani Humieckiej, prosząc o ratunek, i nie zawiódł się, bo go tyłem domu swego bezpiecznie potem wypuściła.

Po rozdaniu nagród, nastąpiła wieczerza na 300 osób; stół jeden nakryty był w sali wielkiej, inne pod namiotami umyślnie na to rozbite i pomniejszych pokojach. Skończyło się wreszcie wszystko fajerkami, i tym nazajutrz przylepionym po mieście wierszykiem:

Sto tysięcy karuzel, jabym trzykroć łożył,

Żeby Stanisław umarł, a Jan III ożył.

Przyniesiono jedną z kartek królowi, i mówią że go ten koncept zmartwił nie mało.

Wszystko to mignęło i przeszło, a my dziś starzy, co to się z nas porobiło! ha! ktoby to uwierzył, że tak hasał na koniu z kopiją w rękę? I gdzie się to wszystko podziało, te piękności naszych czasów.

— Widywałeś Panią Grab...?

— Jakże nie! Ta nie była piękna z twarzy, ale figurę miała cudowną, i pierś jak z marmuru wyciosana. Była z domu L... Wpływ jej na króla był niesłychany, tak że Bóg wie czego na nim nie wymogła, gdy chciała, do tego stopnia, że gdy raz brat jej, sławny gracz i rozrutnik L... zgrawszy się po swojemu do szczytu, i na słowo w dodatku niejakiemu Wyhowskiemu, począł przed siostrą narzekać, skłoniła króla, żeby pośredniczył między nim a Wyhowskim, w układach z gry wynikłych. Ten Wyhowski był graczem z professyi, a jak grał, uczucie czy nie, tego nie wiem, to pewna, że L... grając z nim, przegrał co tylko jeszcze mu z łaski siostry i króla zostawało. Pieńki gotowe, klejnoty, powozy, konie i znaczną sumę na słowo puścił. Król wieczorem będąc u Grab... widzi ją w łazach, rozpytuje przyczyny, i daje słowo że na to poradzi.

(D. n.)

Przemysłnik.

Lat temu kilkanaście odwiedziłem na wsi mego przyjaciela, pana Teofila. Wybierałem się długo, przyrzekałem nieraz, aż nareszcie uciekając przed niebezpieczeństwem pewnych oczów, które mi tak jakoś zdradziecko i na przelaj zaszyły drogę, że innego niewiedziałem dla siebie ratunku, zemknąłem co prędzej, i nieobejrzałem się aż w Jakubińcach, wiosce dziedzicznej pana Teofila, na naszym Podolu nad samą granicą rossyjską rozłożonej. Ucieczka ta niebyła źle wymyślona, już dla tego samego, że każda ucieczka jest operacją dziwnie strategiczną, i że uciekając w jesieni po podolskiem błocie o mil blisko trzydzieści,

miały czas wywietrzyć z serea budzące się uczucia, ogromnie drażliwe na wszelkie niewygody podróże. Lecz najrozumniejszym w tem był wybór pana Teofila; był to bowiem stary kawaler, i jako taki z samego już obowiązku nieprzyjaciel kobiet i wszelkich uczuć czulszych, na przeciw którym miał zwyczaj walczyć tak licznymi zastępami loków komunów, że jeżeli nie przekonał, to wynudził, i najzawziętsze serce jakby mocną z broniącą się miłością fortecą, nudami miasto głodu przymuszał do kapitulacji. W tej mierze był nieubłagany i nie zmęczony; posiadał bowiem niewyczerpane źródło wypadków najnieszcześliwszych z powodu miłości, a mianowicie z powodu małżeństwa, do którego miał abominacją zda się przyrodzoną, jak to czasem miewają ludzie odrazę od myszy, szczura, od zapachu lub potrawy jakiej. Włosy na głowie stawały, słuchając jego opowiadania o tych wszystkich nieszczęściach małżeńskich, na które on sam własnymi patrzył oczami, i własnymi słyszał uszami. W swej nieomyślnej pamięci chował całe *martyrologium małżeńskie*, i z upodobaniem chirurga, pokazującego gabinet anatomiczny, dobywał z niego wszystkie okropności, rozwodząc się nad nimi z niepospolitym fervorem.

— Jak mnie ten niewyratuje, przyjdzie zginąć, mówiłem sam do siebie, widząc tuż przed sobą te przeklęte oczy, biegnące po drodze przedemną, witające mnie na każdym popasie i na każdym noclegu. Ależ bo to były oczy! oczywiście ciemne, jak najciemniejsza przepaść, ogniste jak błyskawica! ach cudowne oczy! Ot kto wie, czy nie popełniłem głupstwa, uciekając przed nimi! Ale stało się.

Przyjechałem pod noc do Jakubińca. Deszczyk kropił, ów to zdradliwy kapuśniaczek, który najdelikatniejszymi kropelkami zmoczył cię do ostatniej niteczki, a na ziemi podolskiej za kilka godzin stworzył chlapawkę, godną pierwszej potopowej chwili, gdy szanowny Noe wylazł z swej arki na potopem rozmoczoną ziemię. Do tego poświstywał wietrzyk, ów gość z zachodniej północy, który niewiem dla czego tak serdecznie ukochał wyżyny Podolskie. Mimo deszczu i wiatru wbiegły przedemną owe oczy urocze do pokoju, w którym mój przyjaciel siedział przy kominku, wesoło płonącym, w towarzystwie wyżła drzemającego i jakiegoś pięknego młodzieńca, który oparty o ścianę, oczami i nogami, w ciągły ruch wprowadzonymi, okazywał niecierpliwość swoją. Była to chwila w której pan Teofil wydawał dyspozycję swoje na dzień jutrzejszy; a jako kawaler i to stary, umiał je rozwlekać i przewlekać w sposób niesłychany.

— Co aspan mówisz? ozwał się właśnie do swego pisarza, gdy ja wszedłem.

— A niechże cię nieznam! zawołał do mnie z przyspieszoną flegmą, podnosząc siebie i swój szlafrok, dotąd dla meażu podniesiony. Anim się ciebie spodziewałem.

Po serdecznem uściśnieniu, bo pan Teofil, choć stary kawaler i nudziarz wzorowy, lubił mnie dosyć, a może nareszcie był zadowolniony, że mu przybył ktoś nowy, którego czas jakiś będzie mógł nudzić bezkarnie, po serdecznem tedy uściśnieniu, obejrzał się co prędzej za młodzieńcem który już był przy klamece.

— Nie odchódź no aspan! nieskończyłem.

— Ależ jasny panie! plugi jeżeli pogoda, zmłocki jeżeli ślota.

— No! no! idź już! idź! ale nocuj na folwarku.

— Ja zawsze!

— Tak! tak! zawsze do miasteczka się wynosisz!

— Przepraszam cię, ale musiałem zadyponować, to mój pisarz! . . . Niezły chłopiec! . . . ale romansowa szkatułka! . . . pisarz! wystaw sobie! . . . co to za czasy! . . .

— Ach! westchnąłem głęboko! . . .

— Fe! ta bo i ty wzdychasz! . . . w twoim wieku, przy rozumie i doświadczeniu . . . miałbyś i ty! . . .

— Ot tak zmokłem, przeziąłem . . .

— A czyż herbata przyda ci się, a mam doskonałą, co mi wprost z Berdyczowa przywożą.

Zadzwoił pan Teofil; zawył stary bekas; i wszedł ziewając straszliwie stary i siwy Franciszek, wielki faworyt pana Teofila, bo on jeden umiał się panu swemu odwetowywać nudniejszym jeszcze nudzeniem, do czego mu pomagało najzacieklejsze jąkanie się. . . . Franciszek znał mnie doskonale. i nawet lubił mnie po swojemu, a że był bardzo czulego serca, więc na mój widok aż do łez się rozczulił.

— To pan Bo . . . bol . . . e . . . e . . . !

Nie dokończył biedak, mimo że rozpaczliwie ruszał ustami i siwymi brwiami.

— Przystań nudziarzu! i daj herbaty! . . .

— Nu! . . . nudz! . . . ia . . . dzia . . . ru! . . . wymówił ledwie . . . pa . . . pan! . . . sas . . . sam! . . . i po długich natężeniach by coś jeszcze powiedzieć, wyszedł wreszcie.

Mimowoli ziewnąłem, i dalibóg po raz pierwszy od wyjazdu mego z miasta, pobladły jakoś, wiszące przedemną promieniste oczy czarne.

Pan Teofil był mi rad, herbata była doskonała, kominiek ciepły, nawet stary bekas od czasu do czasu witał mnie przyjaznym kiwaniem ogonu, ziewanie moje co chwila się wzmagało. Mój przyjaciel był bardzo rozmowny, i jako jeden stary kawaler w okolicy, posiadał, najobszerniejsze wiadomości co do wszelkich okolicznych zdarzeń. Poczciwy za siebie i za tę której nie posiadał żonę, lubił plotki, które zbierał za pomocą zaprowadzonego u niego systematu podatkowego, które pobierał od każdego z tych okolicznych bajkonosów, jakimi są arendarze, faktorowie, ekonomowie i tym podobne figury, w każdym domie będące i mające stosunki z każdą garderobą, z każdym przedpokojem i z każdą piekarnią, temi warsztatami, gdzie się ciągle nowe wypiekają bajki. Zasób tych plotek był nie mały, opowiadał z chęcią zabawienia i mnie i siebie, a więc czas przechodził jakoś, i niepowiniennem się był nudzić. A przecież coraz częściej ziewać zaczynałem. Zdaje się że już atmosfera, otaczająca starego kawalera, ma w sobie mnóstwo soporyficznych cząstek.

Moje czarne promieniste towarzyszyżki podróży bładły i pelzły jakby na starym obrazie. I już tylko dwa małe świeciły promyżki: wydawały mi się dwoma łzami, płaczącymi nad losem głupca, który przed nimi uciekł na puste Podole, w towarzystwo starego i nudnego kawalera.

Wzdychałem na piękne, czyli raczej pół westchnieniami starałem się zakrywać doskonale, całkowite ziewania moje.

Lecz by to ziewanie nie stało się za nadto zaraźliwym pomiędzy czytelnikami memi, muszę przerwać ten opis moich wrażeń osobistych, które chcecie panowie i panie choć by dla tego przebaczyć, że owe oczy czarne były bardzo czarne, bardzo piękne, i podobno ostatnie które raczyły tak długo patrzeć za mną. A więc dłużej niż potrzeba zatrzymałem się nad rozbudzonemi pamiętkami memi, choć właściwie chciałem tylko rozpowiedzieć jeden epizod, dosyć ciekawy, który mnie niektórymi niezwyčajnymi szczegółami, i dramatycznym zakończeniem zajął niepomału i który tu z kolei chciałem opowiedzieć tym, którzy zechcą kiedy czytać pamiętniki moje.

Było to już po trzeciej czy po czwartej szklance herbaty. Mój przyjaciel wysypał przedemną niewdzięcznym cały skarb sąsiedzkich plotek. I już znałem i księdza dziekana, i panią posesorową z dziedziców urodzoną, i córki pana Majora, mające po ojcu zapewne wielkie upodobanie we wszystkich wojennych sprawach od, poruczników zaczawszy; już nawet wiedziałem kto w okolicy najgorzej grał wiska a najlepiej prawil o polityce, kto najfatalniej gospodarował, kto, po co i jakie miał długi! Już podobno wszystko wiedziałem, gdy pomału pan Teofil przechodząc od drugich do siebie, zaczął mi rozpowiadać o sobie, o swoim gospodarstwie wzorowym, o planach na przyszłość, mianowicie co do koni które jak twierdził są wdzięczniejsze od ludzi, które bardzo lubił, i których miał bardzo liczne i bardzo piękne stado.

— A słyszałem że masz bardzo piękne konie!

— Mam niestety! odrzekł i westchnął tak potężnie, że aż spojrzełem na niego zdziwiony.

— Dla czegoż niestety! . . . wszak chowają ci się dobrze..

— A chowają się . . . i to tem gorzej! . . .

— Tem gorzej? . . . nierozumiem.

— Bo tem mnie więcej żal za nimi! . . . Czy niesłyszałeś nigdy o złodziejach koni? . . .

— Wiem że są złodzieje koni, ale się można przecie ustrzedz! . . .

— Pokazuje się że niemasz najmniejszego wyobrażenia o naszych złodziejach nadgranicznych, ani o ich zgrabności i rozgałęzieniu.

Tu mój przyjaciel wpadł w zapał retoryczny, i z wymową, której się u niego nie spodziewałem, zaczął mi rozpowiadać ciekawe szczegóły o tych kradzieżach tak zgrabnie popełnianych, że mimo największego dozoru, nikną nieraz konie czy w dzień czy w nocy, i gdy już raz znikną niebyło przypadku prawie, aby się odszukały, mimo wszelkich zabiegów, staranności i kosztów.

— Są uważasz połączone z sobą po całej okolicy stowarzyszenia złodziejskie, które się z sobą porozumiewają, i mają swoich przechowywaczów i przemytników. Ledwie zginie ci koń, już go w tej okolicy niemasz za kilka godzin. Manowcami, lotem łyskawicy przejdzie z rąk do rąk, i ledwie godzin kilkanaście przeminie, już się znajdzie o mil dwadzieścia na jarmarku, w obcym miejscu, gdzie go już nikt nie pozna.

— Czyż to być może? . . . przez przypadek zdarzyć się może że na jarmarku gdzie się znajdują ludzie z różnych okolic. . .

— Jesteś nowicjusz! Mnie samemu, który przecie jestem znawcą, zdarzyło się że w S. o mil dwanaście z tąd, kupiłem własnego konia, którego mi wykradzono z stajni przed kilkoma dniami.

— I niepoznałeś...

— A nie! tak był doskonale pomalowany. Z siwego konia zrobiono ci karosza z białą gwiazdką, za którego dałem więcej, niż bym był wziął za własnego siwosza.

— I czyliż przecie niemożecie zaprowadzić naprzeciw takim stowarzyszeniom, inne stowarzyszenie domowej policy, przez własne sługi.

— Co ty wiesz o naszych sługach.

— To przez naszych wieśniaków, którzy właśnie do takich spraw mają najwięcej sprytu.

— I używają go najczęściej na korzyść żydów, stojących na czele tych stowarzyszeń.

— Przecież za grube pieniądze, może by nie jeden zdradził.

— Odpowiem ci na to niedawnem zdarzeniem. Złapali tu u nas chłopca, o którym było przekonanie że pomaga żydom, i jest głównem prawie ogniem w tem całym stowarzyszeniu złodziejskiem. Już nawet do niejednego się przyznał, i pomału czy dla groźby, czy dla zysku byłby zapewne wszystko wyśpiewał, gdy go nagle pewnej nocy mimo dozoru i pilności wykradzono. Nazajutrz znaleziono go na polu zaduszonego biczykiem. Czy rozumiesz?

— A to piękny kraj! zawołałem zgrozą przyjęty.

— To nie jeszcze! ale opowiem ci jeszcze co cię zapewne zainteresuje, bo ty jesteś podobno romantyk, ale nawet jeżeli się nie myślę coś tam napisałeś nakształt powieści.

— Pisałem, odrzekłem z dumą i urazą...

— Ja tam nigdy nie czytam waszych powieści, bo i drogo kosztują, i nie wiele smakują. Człowiek na wsi w te długie zimowe wieczory, i tak drzymie, choć was nie czyta... Ale słuchaj... może tam kiedy skleisz co z tego.

— Słucham! tylko zacznij już raz.

— Mamy tu sławnego przemytnika, nadzwyczajnej śmiałości, odwagi i zgrabności. Ty wiesz co to jest przemytnik?...

— A wiem!

— Wiesz tedy jak na niego nad granicą poluje straż pograniczna, bo złapać takiego ptaszka, to i zasługa i rzecz intratna. Cóż powiesz na to, że nietylko go złapać niemożę, ale nikt nie wie, kto on jest, z kąd, a nawet właśnie nikt go nie widział.

— Jakże to być może?

— Tak jest w rzeczy samej. Jest on tu w naszej okolicy znany doskonale z mnogich kradzieży i tak zwanych szwarcunków, które odbywa na wielką skalę. Mówią o nim że jest żyd, czarny, z zuchwałą twarzą; opowiadają o nim niestworzone dzieje, tysiąc anegdot biega o nim. Jednem słowem ten czarny żyd stał się u nas mytem niby a zarazem najniebezpieczniejszą rzeczywistością, przypominającą się nam codziennie.

— I czyż może być, by go na granicy nigdy nie zdybali.

— Cóż rozumiesz przed zdybaniem. Jużciż go nie

raz zdybali niby, bo zasiadywali na niego w różnych miejscach. I nieraz tedy w ciemną noc, gdy siedząc na najlepszym przesmyku, pewni byli że się im nie wymknie, pojawiała się nagle o kroków kilkadziesiąt zgraja konnych, każdy z paczką kontrabandy na tęgim koniu. Na czele jechał ów nasz myt kontrabandarski, z rozwianą jak węgiel czarną brodą. Cicho, szybko, jakby duchy jakie przemknęli po trawie, zostawiając tylko ślady końskie za sobą, a nim czuwający strażnicy wypadli z zasadzki, jezdni znikli jak sen na mara. Czasem tuż przed nimi przemknęli; strażnicy dali ognia, na to tylko by przy świetle strażów zobaczyć, jak fantastyczny przemytnik na czarnym, szatańsko tęgim koniu znikł im z przed oczów w mgłę nocnej. Czasem nawet przyszło do walki. Przemytniki mają zwykle pistolety przy sobie. Zdybani z bliska odstrzelili się, oczy czarnego żyda zaiskrzyły się żywiej od pistoletowego strzału; jęknął jeden i drugi ze strażników, i cała zgraja jakby tumanem porwana, znikła, nikt nigdy nie wie gdzie.

— A wiesz żeś rozbudził moją ciekawość!... chciałbym być przy której z takich wypraw. (C. d. n.)

Po pięćdziesięciu latach.

Młody wbiegłem w gaj zielony,

Gdzie olbrzymie dęby stały,

A złociste słońca strzały

Spromieniły ich korony;

Tam przy cichem liścia drzeniu

Słodkom usnął w dębów cieniu.

A gdy ze snu się zbudziłem,

Patrzę, dziwo, ach gaj święty!

Przebóg, cały był wycięty;

Ja pół wieku tak prześniłem!

Pnie zarosły, a w około

Tysiąc kwiatów wzniosło czoło.

A gdy dębów już niestało,

To się drobnym kwiatkom zdało,

Że na piędź wyrosłszy przecie,

Są dębami na tym świecie.

Listy z podróży.

1.

Kolini w zatoce Kamieszu, w lutym 1856.

Przyrzekłem wam pisać z podróży. Ale o czym? co opowiadać? Przygody? — Najserdeczniej pragnę by los oszczędził mi przyjemności tej. Przygody podróży morskiej, to tylko dobre w tysiąc i jednej nocy. Burza na morzu piękna, ale uważana z brzegu. Pożar także piękny, ale niechciałbym być nigdy czynną dramatu osobą. Na obraży podróży morskiej niewiele potrzeba czasu, niewiele kolorów. Okręt nasz rozpuścił wszystkie żagle, natężył wszystkie pary i płynie z południa na północ. Słońce w całym swym blasku zimowym, płynie ze wschodu na zachód. Słońce jedno na niebie, okręt nasz jeden na morzu, bo ani jednej chmurki na jasnym błękitie niebios, ani jednego żagla na

ciemnych lazurach morza. Niebo i morze, okręt i słońce, cztery przedmioty opisuj jak chcesz!... Południowy wiatr jakiś, średni między burzą a ciszą, kołysze nas, jak nianka nieuspione dziecko. Bałwany, nastrzępione u grzbietu, białą grzywą rozbijają się z szelestem o boki okrętu. Lekkie obłoczki piany upstrzyły całą powierzchnię modrej toni i wydają się zdaleka jak trzoda białych owiec lub stado pelikanów, igrających nad wodą. Dalej niebo łączy się z morzem jakąś srebrzystą linią, i — nic więcej. Cały obraz ten opowiadać niedługo, odmalować — nietrudno, a wyobrazić go sobie — nic łatwiejszego. Powszednie życie na okręcie zanadto jednostajnym jest i nudnym, aby zająć mogło w opisie. Zresztą, niepodobają mi się podróźni, którym zdaje się że czytelnik bardzo jest nimi zajęty; co chwila więc spiewają o sobie: o tem co jedzą i piją i co ich otacza. Co komu do mego życia prywatnego? — Może zająłbym kogo, opowiadając w głos myśli, marzenia, wspomnienia, anatomizując publicznie serce moje. Może wzruszyłbym pieśnią, którą mi morze spiewa, głosem, co mi fale szepeją, fale oświecone wodą Dniestru i Bohu — rzek, jak Jordan świętych w świetle moich pamiętek. Słuchając szumu bałwanów, marzy mi się nie jeden głos luby, nie jedna skarga, nie jedno błogosławieństwo, ale

Niema słów w mowie na takie pieśni,

Niema słuchacza w świetcie, prócz Boga.

A więc, by zabić nudę, i uiścić się z obietnicy, opowiem wam, w zarysach, historją handlu na Czarnem morzu.

Biorąc za charakterystykę epoki narodowości, historją handlu Czarnego morza dzieli się na cztery epoki: Grecką, Genueńską, Turecką i Moskiewską. Ale właściwie podzielić ją potrzeba na dwa nierówne okresy: pierwszy — obejmuje z górą wieków 50 — od podróży Argonautów do upadku Kaffy. W całym tym przyciągu czasu morze czarne jest głównym gościńcem handlowym na wschód. Grecy, a przykońcu Genueńczykowie, przywłaszczają sobie wyłączne prawo handlu tego i okrywają brzegi Euxynu kwitnącemi kolonjami. Drugi okres — od wzięcia przez Turków Kaffy i zniszczenia kolonii genueńskich do naszych czasów, t. j. Morze czarne pod panowaniem Turków i Moskali. W okresie tym odkrycie drogi do Indii przez Waskode-Gama zmienia znaczenie Czarnego Morza pod względem handlowym. Handel czarnomorski upada, ograniczając się jedynie na wywozie zboża i nieznacznym przywozie europejskich wyrobów.

Aby pojąć ważność stosunków handlowych na Czarnem morzu, spojrzymy na mapę. Od północy Dniestr, Dniepr i Don, przerywając w różnych kierunkach żyzne obszary, służą tyłaz drogami w najodleglejsze kraje. ¹⁾ Stąd zboże, drogocne futra, wosk, ryby i wędliny tak drogo przepłacane w Grecji i Rzymie. ²⁾ Liczne solne jeziora były także skarbem nieocenionym, szczególnie w czasach, kiedy jeszcze soli nieumiano wyrabiać z wody morskiej. Od wschodu widzimy Amu-daria (Oxus), przebiegając przestrzeń niezmierną Azji środkowej, wpada do jeziora Aralskiego. Dawniej istniał kanał, łączący rzekę tę z morzem Kaspijskiem. Z Kaspijskiego morza towary szły wodą ku wierzchowiom Kuru

(Cyrus), a stąd do Rionu i morza Czarnego. Na południu z wyżyn Armenii płyną: Kizil-irmak (Halys), Jeszil-irmak (Iris) i Keilu-issarisu (Lykus). Górzysty kraj Armenii przedziela rzeki te od Eufratu i handlowego babilońskiego gościńca, lecz los, jakby wynagradzając niedogodność tę, osadził na wyżynach przemysłowe plemię Ormian. Zresztą kraj ten nie był tem, czem jest dzisiaj, o czem wymownie świadczą gruzy miast obszernych, ostatki dróg i mostów. Tak więc morze Czarne, leżąc, można powiedzieć, we środku starego świata, garnęło do siebie wszystkie skarby dla wzajemnej zamiany.

W najgłębszej starożytności umiano pojąć ważność Czarnego morza, i starano się korzystać z wygod, jakie ono, przez położenie swoje, zapewnia handlowi. W XVII. przed Chr. wieku Sezostris, w czasie wyprawy do Seytii, założył małą kolonią, przy ujściu Rionu. ³⁾ Paflagon, fenicyjczyk, współczesny Argonautów, osiadł na brzegu południowym, i kolonia ta fenicyjańska musiała rozmnożyć się z czasem, bo widzimy później prowineją całą, noszącą nazwę Paflagonii. ⁴⁾ Stosunki greków z mieszkańcami brzegów morza czarnego zaczęły się również w czasach przedhistorycznych. Wyobraźnia poetów, uogólniając czyny i zdarzenia zbiorowe, wyraziła je w podróży Argonautów, wyprawach Herkulesa, micie o Ifigenii, Oreście i Pyladzie. Przypatrzmy się bliżej mitom tym, odsłoniemy tęczową tkankę poezji, a może uda się nam dopatrzeć faktów dziejowych, i odgadnąć naturę i cel tych wypraw półbogów.

Naprzód widzimy na wschodnim brzegu morza czarnego całe plemię Achejczyków lub Zików, co mienili się kolonią Argonautów ⁵⁾ Dalej — mieszkańców Albanii zaukaskazkiej, co utrzymywali, że są potomkami kolonii, wyprawionej z Włoch przez Herkulesa. ⁶⁾ Heraklea także szczyliła się tem, że Herkules był jej założycielem. ⁷⁾ Widoecznie jest zatem, że mity te obejmowały podania o licznych emigracjach greckich i kolonizacji ich na brzegach morza Czarnego. Oweczesny polityczny stan Grecji, wiekowe boje Pelazgów i Helenów, krwawe Heraklidów zatargi dały pierwszy popęd wychodźtwa temu, a dobry byt i korzystny handel dokonały reszty. Główną jednak podwaliną bohaterских podań tych były wyprawy rozbójnicze. Czem są dzisiaj piraci na Archipelagu, tem byli przodkowie ich, półbogi. Czasy i zwyczaje odmieniły się; za co dziś wieszają, za to dawniej wznoszono ołtarze. Ludzie wszelakoż zawsze tacyż sami; natchnij tylko odwagą zniewieściałych potomków Helady, a z charakterem, jaki dziś mają, zupełnym będą obrazem Greków Homera. Rozważmy tylko dobrze treść mytologicznych podań o Argonautach, Herkulesie, Oreście i Pyladzie. Co jest przedmiotem podróży tych, albo raczej — z czem wracają półbogowie ci z wypraw dalekich? Złote runo i Medea, oręż Orytei, królowej Amazonek i branki, Ifigenia i złoty posąg Diany tauropolitańskiej, a zawsze noc, podstęp, zdrada, złupione miasta, ograbione kościoły, mieszkańce zabrani w niewolę. A czyny boskiego Achyla, cała wojna trojańska — czem że były innem? Lecz lampa geniuszu pali się nad grobowcem zbójów, a więc — pokój im!

(C. d. n.)

¹⁾ Dunaj, zamieszany przez różne wrogie sobie narody, w epoce tej nie gra ważnej roli w historii handlu.

²⁾ Montesquieu de l' Esprit des lois.

³⁾ Herodot. ⁴⁾ Herodot. ⁵⁾ Herodot. ⁶⁾ Le Franc. Geogr. ancienne.

⁷⁾ Herodot. Le Franc.

Rozmaitość.

* **Męczennik umiejętności** W Paryżu umarł niejaki Alexander Tinconi, 50 lat mający, literat, urodzony w Stambule. Znalaziono go nieżyjącego w jego własnem pomieszkaniu. W skutek uczynionych indagacji pokazało się że umarł po prostu z głodu. Ale to nie było w skutek niedostatku, gdyż przeciwnie zmarły miał niezły majątek, ale oddany naukom zapominał zupełnie o potrzebie jedzenia, i tak nieraz po kilka dni nie brał do ust. Ciało leżało na łożu z książek i manuskryptów we wszystkich świata językach. Pomieszkание całe było zasypane książkami, leżąciami we wszystkich kątach, które tu i owdzie aż do powały się piętrzyły.

Alexander Tinconi mówił dobrze dwunastą językami. Zajmował on dawniej znakomite w świecie stanowisko, ale wszystko poświęcił aby oddać się nauce. Niepodobna jest wiernie opisać nieporządek i zaniedbanie jakie panowały w jego pomieszkaniu. Jeszcze gorzej było z nim samym. Od dwóch lat nie odmieniał ani sukni ani bielizny. Ciało było na mumię wyschnięte. W pomieszkaniu zmarłego znalaziono mnóstwo rzadkości; między innymi miał on broń wszystkich narodów Azjatyckich, starożytności różnego rodzaju, i autografy wszystkich europejskich znakomitości.— Książki zapisał bibliotece Mazaryńskiej, a majątek na różne fundusze dobroczynne.

* **Dowcipne powiedzenie Hufelanda.**— Pan jesteś bardzo zdolnym lekarzem! mówił książę K. do zmarłego Hufelanda. Przy znajomości głębokiej ciała ludzkiego, nie ma zapewne słabości, której byś pan nie wyleczył.

— Tak to jest; mnie się tak dzieje jak stróżowi nocnemu, który zna wszystkie ulice miasta, ale nie wie przecie co się dzieje w szczególnych domach.

* **Z nad ujścia Wisłoki, w marcu.** Przez kilka tygodni byliśmy tu w obawie wylewu, bo Wisłoka trzy razy zrzuciła, a te lody wszystkie stanęły przy ujściu zatorem, dobrą milę się rozciągającym; pokazało się jednak że z wielkiej chmury mały deszcz bywa, bo dzięki Bogu cała ta massa lodu poszła sobie najspokojniej, niezrobiwszy żadnej szkody. Pospieszylem wraz z innymi podziękować Bogu za to, że nam tej kłeski oszczędził i kiedy po mszy zaintonowano suplikacją »Od powietrza głodu ognia i wojny« mój sąsiad obok mnie siedzący zanucił wprawdzie cicho ale tak że usłyszeć mogłem:

»Najdłuższej wojny daj nam Święty Boże.

»Bo mi do reszty zjedzą wólki zboże!

Tę myśl antyfilantropiczną wywołała nadzwyczajna stagnacja, jaka panuje w handlu zbożowym. O cenach nawet wspominać nie można, bo kupca zupełnie nie ma, i nie dziw, nasz handel ogranicza się na sprzedaży w naszych prowincjonalnych zgniłych miasteczkach. Koryfeuszami tego handlu są żydzi, co ani kapitałów ani też obrotu do podobnego handlu nie mają, cały ich rozum kupić z nowego tanio, a potem z byle jakim zyskiem sprzedać. Tacy zatem nie kupcy ale tak nazwani *przelewacze*, usłyszawszy o nadziejach pokoju i sprzedaży rządowych magazynów, a przytem nie widząc kupców co zwykle z gór przybywali a których teraz Węgry zasilają, upadli na duehu i założyli za pas ręce. Nie dziw zatem że biedna szlachta przywykła od kilku lat wypychać za drzwi kupców zbożowych, dziś kiedy o to zboże ani się nikt nie pyta, zaczyna desperować, a tu potrzeby coraz większe, słowem że jak tak dłużej potrwa, będziemy musieli, kiedy się gdzie zgromadzimy, zaspiewać przy kieliszku zamiast:

»Od Wacana do Wacana

»Pijmy zdrowi aż do rana«

»Wiatr w uszy wieje,

Każden się śmieje

A nikt nie zatka!

Jerum, Jerum

Qualis mutatio rerum!«

Co do mnie, któren nigdy pesymistą nie byłem, nie tak czarno rzeczy widzę. Wychodząc z zasady że cena produktu do kosztów produkcji stosować się musi, niewątpliwie iż ceny zboża u nas tak nadzwyczajnie spaść niemoga. Nieprzeczę że kolej żelazna, prowadzona z Podola, przyczyni się wiele do zniżenia cen; ale przecież zawsze będąc o kilka dni bliżej targów Europejskich, będziemy mieli nie co pierw-

szeństwa. Starajmy się tylko abyśmy te targi mieli czem zasilać. Potrzeba uczy rozumu, że tylko przytoczę, o ile sztuka gorzelnictwa się podniosła i wydoskonalila po zaprowadzeniu akcyzy! Tak też się stanie i z innymi gałęziami gospodarstwa; może siał mniej będziemy ale za to chów koni, bydła, trzody a nawet drobiu będzie nam stać otworem, a zbliżeni kolejami do całego świata, niebędziemy się lękać przesytu! Nie traćmy zatem nadziei, rąk nieopuszczajmy a przyjąwszy za godło: *Volenti nihil difficile*, nieustawajmy w pracy, a strzeżmy się zwątpienia, bo ono zwykle do zguby prowadzi!

Tegoroczna zima prawdziwie dowiodła że należy do rodzaju żeńskiego, bo tu trudno więcej być kapryśną! Z początku niepamiętne mrozy, potem 6 Lutego zjawił się zwiastun wiosny, skowronek; już zaczęto orać w polu, aż tu potem znów zima na nowo chwyciła, stan ten zmienny wpłynął niekorzystnie na oziminy. Po pierwszym zejściu śniegu wydawały się one przesłicznie, ale teraz już poźółkły i z pewnością twierdzić można że urodzaju nadzwyczajnego nie będzie.

Z dniem otwarcia kolei w Dembicy, zaczęły chodzić także szybko-kowozy z Dzikowa do Dembicy i z Tarnowa do Mielca. Urządzenie tych komunikacji o ile jest potrzebnem, o tyle odpowiada praktycznością, że nie idą owe ciężkie karety pocztowe ale po prostu wózki i najtyczanki; ale co do wygody podróżnych należałoby aby pomyślano o nakryciu tych bryczek, bo kaźden odpłacając dość drogo tę podróż, ma prawo wymagać by mu się w czasie deszczu za kark nie lało. Niewątpliwie że te ulepszenia z czasem nastąpią, tem więcej że podobna jazda dla żydów za droga, tylko przez lepszą publiczność użytą byćmoże.

* **Najregularniejszy z zegarków.** *Le Gigue*, znamienny podróżnik francuzki po Tybecie i Chinach, opowiada następującemi słowy, jak prosty lud chiński poznaje godziny: »Chcę raz odwiedzić pewną parafię chińską, niedawno na katolicką religię nawróconą, po drodze spotkaliśmy chłopaka, pasącego woły, a zbliżywszy się do niego zapytaliśmy, czy już jest 12ta godzina? Chłopiec popatrzył na słońce, lecz że to zakryte było gęstemi chmurami, nie mogąc nic zład stanowczego odpowiedzieć, kazał nam chwilę zaczekać i wbiegł do pierwszej włościńskiej chatki, w krótkie powrócił z kotem na ręku. »Patrzajcie, jeszcze nie ma 12tej godziny.« To mówiąc wskazał na oczy kota, podejmując mu powieki; z zadziwieniem patrzyliśmy na parobczaka, lecz on jak uważać można było ze wszystkiego, nie żartował, bo i sam kotek pomimo wcale przykrego położenia, zdawał się być zadowolnionym z podobnej operacji, siedział sobie spokojnie, jakby wiedział, że przeznaczeniem jego jest być chodzącym zegarkiem. Podziękowawszy parobczakowi, naśmieliśmy się serdecznie, że od prostacka przyszło nam się uczyć. Lecz zobaczywszy się z przyjaciółmi, natychmiast prosiłiśmy ich o wytłumaczenie całego postępowania tego chłopca z kotem.

Chińczycy dziwili się naszej niewiedomości, znieśli natychmiast ze dwa tuziny kotów, chcą nas przekonać, że w oczach kocich wszystkie godziny najakuratniej są wskazane.

Żrenice w kocich oczach stopniowo zwięzają się do południa, a o południu dochodzą do największego zwięzienia, tak, że przedstawiają się w kształcie cienkiej jak włos linijki, przeprowadzonej perpendykularnie nad okiem. Potem żrenice powiększać się zaczynają i o północy dochodzą kształtu dosyć dużej i wypukłej kulki, a co więcej upewniali nas, że po kocich oczach kaźdy dziecko w bardzo krótkim czasie, wyuczy się oznaczać godziny i myśmy o tem sami się przekonali z czasem, że kocie oczy są najpewniejszym i najregularniejszym z zegarków.

Niepotrzeba już żelaznych szyn przy kolejach (rełsów.)

Piszą francuzkie gazety, że pewien Pan Franciszek *Voldanau*; rodem z Paryża, otrzymał już przywilej na wynalazek, który zapewne zrobi wielki przewrót w budowie dróg żelaznych. Skutkiem tego nowego wynalazku, można będzie wszędzie robić drogi dla powozów, bez użycia żelaznych kolei czyli rełsów, a kołami w wagonach nowego kształtu, używać je na zwykłych drogach i znowu wprowadzać na drogi żelazne, jeżeli tego będzie potrzeba.

Bardzo wielu upewnia, że wynalazek p. Voldanau, chociaż wydawać się może w pierwszej chwili dziwnym i niepojętym, lecz w rzeczywistości jest najprostszym i najpraktyczniejszym i jeśli wszystko co o nim mówią jest prawdą, to w istocie wynalazek ten zrobi niemały przewrót we wszystkich naszych stosunkach i komunikacjach.

Henryk Jabłoński, autor Gwidona i dumek, o którym mieliśmy wieści, że przebywa gdzieś na Kaukazie a nawet już nie żyje, podał nam wiadomość o sobie, przesyłając powyżej umieszczone listy z podróży. Jest on obecnie tłumaczem przy flocie francuskiej, przebywającej na Czarnym morzu, a zasobna w źródła dziejowe biblioteka floty stoi mu do studjów otworem, i podała mu materiały do historii handlu czarnomorskiego.

Nowiny lwowskie.

Dowiadujemy się że w przyszłym miesiącu mają zjechać do Lwowa pani *Augusta Dulcken* z dwoma córkami, z których jedna *Zofija* znakomita jest artystka na fortepianie, a druga *Izabella* na koncertynie. Obie te artystki znane są z swego talentu i wracają teraz z Rosyi, gdzie bawiły kilka miesięcy, i wielce się podobały. Zamyślają tedy w naszym mieście dać także parę koncertów.

*) Dnia 27. Marca odbyło się w kościele OO. Bernardynów żałobne nabożeństwo za ś. p. Helenę księżnę Ponińską, damę orderu krzyża gwiazdowego, wieloletnią przełożoną towarzystwa Dam Dobroczynności, pamiętną z swego wysokiego ukształcenia, szlachetnych przymiotów duszy, i hojności, z jaką cierpiącą ludzkość wspierała.

Instytut wychowawczy sierot, noszący imię ś. p. księżnej Heleny, i przez nią założony, wiele Dam składających tutejsze towarzystwo Dobroczynności, oraz J. W. Hrabia Russocki, Sekretarz tegoż T. D. z swą rodziną, i ci których pamięć i uczucia wdzięczności wiodły, byli przytomni nabożeństwu, łącząc z tym religijnym obrzędem swe modły.

* **Konkursa:** Posada akcesisty przy pocztowej dyrekcji z pensją 500 złr. termin podania do 20 kwietnia. Posada aktuarjusza przy urzędzie powiatowym w Manasterzyskach z pensją 400 złr. termin podania do czterech tygodni po ostatnim umieszczeniu w gazecie lwowskiej. Pięć miejsc w c. k. Zakładzie kadetów, z funduszu stanoń galicyskich. Kandydaci mają być w takim wieku, iżby rok jedynasty zupełnie lub prawie ukończyli, dwunastego zaś nie przeszli, termin podania do 1. Maja. Posada akcesisty przy sądzie w Czerniowcach z pensją 350 złr. termin podania do końca kwietnia.

Przyjechali od dnia 28 do 30. Marca do Lwowa.

PP. Karol Drack z Bolechowa. August Żurkowski z Lubienia. Maciej Borowski z Hurka. Ignacy Słodraczyński z Jablonki. Ignacy Spodarewicz z Brodów. Józef Witośławski z Żendowic. Józef ZarSKI z Stasina. Stanisław Białobrzęski z Dobrzań. Emil br. Scholten z Krakowa. Filip Fruchtmann z Tarnopola. Ignacy Pierzchała z Uszkowic. Konstanty Ladamirski z Wierzchni. Bruten Ladamirski z Wierzchni. Henryk Kruszyński z Dobromila. Marcin Zawadzki z Kulikowa. Antoni Batowski z Kulikowa. Walerian Waygart z Przemyśla.

PP. Leon baron Brunicki z Zaleszczyk. Franciszek Rudroff z Szwałkowiec. Michał Torosiewicz z Polteu. Hipolit Łęczyński z Liska. Julian Skolimowski z Dynisk. Kazimir Nowacki z Toporowa. Piotr Drewnicki, z Pohorni. Stanisł. Mrozowiecki z Sokołówek. Kasper Boczkowski z Wołowego. Wilhelm Polaczek z Łancuta. Konstanty Sochołowski z Ulika. Szymon Łaszewski z Liczkowiec. Jan Dobrowolski z Bursztyna. Władysław Cielecki z Budzanowa. Jan Wilczyński z Hrebenny. Maur. Torosiewicz z Ostrowa. Jan Biliński. Huta z Obertyńskiej Feliks Biliński, z Huty Obertyńskiej. Karol Nitsche z Czudcza. Józef

Mikołajewicz z Wązowy. Józef Ochocki z Dobropola. Szymon Osmiański z Janczyna.

PP. Jakób Raczynski z Krowicy. Włodzimierz Niezabitowski z Koropuza. Sylw. Brześciński z Rustweczka. Wiktor Janicki z Ostroca. Artur hr. Gołuchowski z Łosiaza. Kornel hr. Golejowski z Krzywca. Antoni Cikowski z Żolnika. Leon Wszelaczyński z Tarnopola Juliusz Malczewski z Skwarzawy. Kazimir hr. Komorowski z Brzezań. Józef Jakubowicz z Kurzan. Bronis. Strzelecki z Zarwanicy. Jan Wiktor z Zarszyna. Tadeusz hr. Łoś z Narola. Ignacy Niewiadomski z Czerniowiec. Adolf Zadurowicz z Czerniowiec. Jan Nahujowski z Dawidowa. Aleksander Wybranowski z Szołomyi. Ludwik Berres z Brzezań. Leopold Obertyński z Stronibab. Konstanty Ladamirski z Wierzchni. Jan Krzyżanowski z Kamionki starej.

Wyjechali od dnia 28 do 30. Marca ze Lwowa.

Jego Excell. Łukasz Baraniecki do Wiednia. Feliks Zubr do Żoltaniec. Kornel Borzemski do Uhnowa. Floryan Kułakowski do Dembicy. Józef Osiecki do Gródka. Józef hr. Zabielski do Dembicy. Marcel Koniecki do Procin. Karol Dobrowolski do Sambora. Bolesław Łopuszański do Czeszek. Ferdynand Steciewicz do Mościsk. Franciszek Petrowicz do Łuczowa. Józef Kantor do Czortkowa Tomasz Grabianka do Ohladowa. Stanisław hr. Kalinowski do Bakowiec.

PP. Zędzianowski do Stanisławowa. Karol Sitauer do Demeszkowic. Konstantyn Tchornicki do Sarnek. Edmund hr. Krasicki do Brodów. Władysław Morawski do Oleszy. Ignacy Morawski do Oleszy. Władysław Szczepański do Wiszniowczyka. Ignacy Pierzchała do Uszkowic. Jan Jaworski do Tehlowa. Ludwik Czerkawski do Meryszcowa. Eucyjan Hermann do Rzepniowa. Alexander Korzeniowski do Machnowa. Stanisław Białobrzęski do Dziedziłowa. Franciszek Bielawski do Przemyśla. Baron Busche do Dembicy. Maurycy Szymański do Storny. Baron Petrino do Czerniowiec.

PP. Jan Komarnicki do Magierowa Józef Duniecki do Milatyna. Bronis. Ladamirski do Wierzchni. Henryk Kruszyński do Przemyśla. Edward hr. Stadnicki do Krzyżowic.

Kurs telegrafowany z Wiednia 31 marca o g.2. popołud.

| | | | |
|----------------------------|---------------------------------|-----------------------------|---------------------------------|
| Augsburg za 100 złr. | 101 ³ / ₄ | Pożyczka 5% | 86 ³ / ₈ |
| Hamburg za 100 tal. franco | 74 ³ / ₄ | Akcyje banku | 1092 |
| Londyn za 1 funt szterl. | 10.4 | Kolej północna | 5000 |
| Medyolan za 500 lirów | 102 ⁷ / ₈ | Obl. ind. | 77 ³ / ₄ |
| Paryż za 500 franków | 119 ³ / ₄ | Nowa pożyczka z loterya | 110 |
| Agio duk. ces. | 5 ¹ / ₂ | Pożyczka narodowa | 86 ⁷ / ₁₆ |

| Dzisiejszy kurs lwowski. | Gotówka | | towarem | |
|---|---------|------|---------|-----|
| | zlr. | kr. | zlr. | kr. |
| Dukat holenderski | 4 44 | 4 49 | | |
| Dukat cesarski | 4 46 | 4 51 | | |
| Półimperyal zł. rosyjski | 8 12 | 8 20 | | |
| Rubel papierowy | — | — | | |
| Rubel srebrny rosyjski | 1 53 | 1 56 | | |
| Talar pruski | 1 50 | 1 52 | | |
| Polski kurant i pięcioletówka | 1 9 | 1 10 | | |
| Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu | — | — | 85 | 50 |
| Galicyskie obligacye indemizacyjne bez kuponu | 76 | 50 | 77 | — |
| 5 proc. pożyczka narodowa | 85 | — | 85 | 50 |
| Srebro | 103 | 50 | 104 | 50 |

(G. 82.) O NASIONACH (3 — 3)

z handlu Karoliny Geistler (•pod wiosną,•)

ogłasza się większy zapas konicyny czerwonej, jako też i wszystkich najlepszych gatunków jarzyn, i najpiękniejszych nasion kwiatowych. Za pewnoś tych własny handel odpowiada.

KAROL WERNER

we Lwowie, na placu katedralnym Nr. 29 i 30 ma w sklepie swoim SKŁAD c. k. uprzywilejowanej Fabryki żelaznej pana M. Marszałkowicza w Kamienicy i zaleca swój dobrany SKŁAD WSZELKIEGO RODZAJU ŻELAZA W SZTABACH

po cenach fabrycznych jak najumiarkowanej wyrachowanych; przyczem ma zaszczyt dodać, że jakoś uznana jest za najlepszą, a spis cen na każde wezwanie udzielonem będzie jak najprędzej.

Prócz tego ten wyżwyrażony handel posiada obszerny skład wszelkiego rodzaju gwoździ budulcowych, najlepszego gatunku, po jak najumiarkowanych cenach fabrycznych. Ma dalej skład wyrobów z chińskiego srebra, z najslawniejszej fabryki wyrobów metalowych pp. **Wilh. Conraetz i Corra** w Wiedniu, składający się z wszelkiego rodzaju przyborów, jakoto: łyżek, nożów, grabków, do wyboru, i po cenach jakie są w fabryce używane. Na frankowane wezwania, najchętniej odpowiesz udzielona będzie.

Lwów dnia 25. Marca 1856. (G. 101. 1—12.)